

Podzwonne dla prowincji

PAWEŁ KWIATKOWSKI

Fot. W. Echeński



Ambicje teatralne rosną na miarę wojewodztw. W tej zresztą dziedzinie, jeśli spojrzeć na same tylko cyfry, jesteśmy światową potęgą. W Polsce działało w 1976 r. 98 stałych zespołów teatralnych, podczas gdy np. w USA było ich tylko 50... Nasz stan posiadania powiększył się od tego czasu znacznie.

Wizja 49 ośrodków teatralnych w kraju napawa może nie tyle dumą, co troską, niektórym zaś jeży włos na głowie. Gdzie istnieją sensowne granice pomiędzy ambicjami i możliwościami? Jak ocenić ową pęd do własnego teatru, objawiany przez każde chyba bez wyjątku – już nawet tylko średniej wielkości miasto?

Mimo pewnych obaw, sądząc z dotychczasowych repertuarów, koncepcji i realizacji, nie chodzi o zdecydowanie o marmurowe gmachy. Teatr prowincjonalny – czy nazwa ta jeszcze dzisiaj cokolwiek znaczy? – reprezentuje na ogół poziom, którego nie trzeba się wstydzić, by nie wspomnieć o kilku scenach na dobrą sprawę awangardowych: współdecyduje o kulturalnym klimacie miasta, zdobywa autentyczne, niekoniecznie na miarę patriotyzmu lokalnego, uznanie i poparcie społeczeństwa. Jest potrzebny i ważny. Czy jednak stworzyć teatr „na kamieniu” jest łatwo?

Niewiele spraw dzieje się w próżni. Dzisiejsze samodzielne sceny powstają z reguły w miastach posiadających wcześniejsze silne związki z większymi, pobliskimi ośrodkami teatralnymi. Tak właśnie jest w przypadku Słupska, gdzie często gościły zespoły gdańskiego Teatru „Wybrzeże” i Koszalińskiego Teatru Dramatycznego, działała scena filialna tego teatru. Trudno więc mówić o pustyni. Dziś jednak Słupsk wybił się do samodzielności i to od razu nie byle jak, bo Teatrem Muzycznym, których w Polsce – na dobrą sprawę – jest kilka, działających na zasadzie ewenementu. Słupsk głośny jest z Festiwalu Pianistyki Polskiej, czy jednak teatr – zwłaszcza muzyczny – nie oznacza marszu z motyką na słońce?

– *Teatr dramatyczny jest w tym środowisku do brze znany – mówi współkierownik artystyczny, Andrzej Lis – brakuje natomiast wyraźnie innych form. Robimy więc teatr muzyczny, jednak z większym akcentem na słowo „teatr”. Teatr o dobrej literaturze – również muzycznej; na dobrą sprawę dramatyczny, ale taki, w którym muzyka stanowi ważną komponentę. Etykieta „teatru muzycznego” nas zobowiązuje, choć w żadnym przypadku nie przeraża: połowa zespołu aktorskiego posiada wykształcenie muzyczne.*

Państwowy Teatr Muzyczny w Słupsku powołany został decyzją wojewody z początkiem 1977 r., w blisko rok później, 26 listopada, wystąpił z pierwszymi spektaklami. Na debiut wybrano głosną „Operetkę” Gombrowicza, którą wyreżyserował kierownik artystyczny teatru – Maciej Prus oraz nie grane dotychczas w Polsce: komedię z muzyką „Dyrektor teatru” wraz z operą komiczną „Bastien i Bastienne” Mozarta, w reżyserii Ryszarda Peryta. Repertuar trudny i oryginalny.

Blisko roczny odstęp pomiędzy powołaniem teatru a jego premierą to okres kompletowania zespołu, załatwianie spraw bytowych, wyposażanie teatru, organizacja warsztatów i obsługi technicznej. Teatr, muzyczny zwłaszcza, jest wielką maszyną techniczną i organizacyjną i tak np. w spektaklu „Opery za 3 grosze” Bertolta Brechta – kolejnej słupskiej premierze – bierze udział łącznie przeszło 100 osób. „Rozruch” dodatkowo utrudniał fakt, że obecny gmach teatru – zmiany w Polsce zachodzą wszędzie i często – budowano z myślą o domu kultury; trzeba było więc dokonywać licznych przeróbek i adaptacji, definitywnie nie zakończonych do dziś.

Kierownikiem artystycznym teatru został – sprawujący tę funkcję do dziś – Maciej Prus, jeden z wybitniejszych reżyserów młodego pokolenia. Słupski teatr świadomie zagrał stawkę na młodych – reżyserów, scenografów, aktorów, muzyków. Ta koncepcja i kredyt zaufania procentują i przyciągają ambitnych: tu mają robotę, dużo wolności w realizacji własnych pomysłów, nie grozi im przestój, oczekiwanie na nagłe zastępstwo, niewielką rolę. Młody teatr wygrywa ten swój atut młodymi ludźmi, widać w tym wielką konsekwencję i przenikliwość, szansę na realizację oryginalne i odważne.

– Czy w stosunkowo małym mieście, jakim jest Słupsk, aktorzy wybijają się, są ludźmi znanymi, zauważanymi na co dzień – pytam Andrzeja Lisa.

– *Tak, to jest odczuwalne, zainteresowanie, sympatia. Czują się znani; ludzie ich kojarzą, identyfikują. Myślę, że nie jest to przykre...*

We wspomnieniowej książce „Niespełnienie” żali się aktorka Anna Lubicz: „Moja sprawa jest jedną z wielu. W teatrze mam koleżanki, które przez wiele lat nie zagrały żadnej roli. Są w teatrze, pracują, statystują, lub prawie statystują. Patrzają na każdą nową obsadę wywieszoną na tablicy i nie znajdują swojego nazwiska z wyjątkiem ról, które nazywają się: dziewczyna I, dziewczyna II, chór dziewczic albo orszak. Wiem, że mój zawód jest zawodem ryzykownym, ale oburza mnie, kiedy pod płaszczykiem rutyny wykorzystuje się miłość do teatru, miłość do zawodu, obsadzaniem w orszaku...”

Mówi Danuta Borowiecka, młoda aktorka słupskiego teatru: – *Występowałam w Poznaniu u Izabelli Cywińskiej, przejechałam do Słupska zaproponował mi pan Prus obiecując, że będzie tu teatr wspaniały – i jest wspaniały. Mamy okazję do pracy z najlepszymi reżyserami z całego kraju, w żadnym przypadku nie można mówić o prowincji. Prowincja to coś, co ma się w sobie. Tu jest wspaniała atmosfera, ciekawy repertuar, ludzie są zdolni, młodzi. Tutaj się dużo gra, po 5–6 ról w sezonie. To*

prawda, trudniej o występy w filmie czy telewizji, ale na dobrą sprawę jesteśmy tak zajęci, że gdyby ktoś nie mógł grać choćby przez kilka dni, trzeba by odwoływać spektakle. Ważne też, że warunki są dobre, wysokie gaże, czujemy troskę miasta, dostaliśmy mieszkania. To, co robimy, oglądają ludzie z całej Polski, a że nasza robota daje nam również satysfakcję artystyczną – nie mamy się czego wstydić.

Kolejne premiery słupskiego Teatru Muzycznego to „Opera za 3 grosze” Brechta w reżyserii Janusza Nyczaka oraz „Szelmostwa Skapena” Moliera w adaptacji i reżyserii Jowity Piętkiewicz. Tuż przed końcem sezonu rozpoczęto próby nowej sztuki „Szlóść samojedna”. Jest to montaż tekstów poetyckich i prozy Mirona Białoszewskiego, opracowany przez Ryszarda Majora, również reżysera spektaklu. Major zdobył uznanie realizacjami w teatrach studenckich, obecnie związany jest na stałe z gdańskim Teatrem „Wybrzeże”.

– *Do Słupska przyciągnęła mnie sympatia dla ludzi, którzy tu pracują, znajomość i szacunek do tego, co robią, – mówi Ryszard Major. – Oczywiście, bardzo ważna jest także możliwość zrealizowania przedstawienia, które jest dla mnie istotne, a które jest na tyle eksperymentalne, że nie sądzę, aby udało mi się je gdziekolwiek indziej zrealizować. Scenariusz, jaki napisałem, jest już w części sprawdzony, realizowałem go w krakowskim studenckim teatrze „Pleonazmus”. Teraz próbuję, o ile więcej uda mi się z tego tekstu wyciągnąć pracując z aktorami zawodowymi. „Szlóść samojedna” – zwrot, oczywiście, Białoszewskiego – to próba przeniesienia na grunt teatru tego, co właśnie Białoszewski robi w poezji i prozie...*

– *Zdajemy sobie sprawę, że jest to repertuar w miarę trudny, ale to właśnie jest ta „dobra literatura”, o którą nam chodzi – mówi Andrzej Lis. – Nie chcemy grać pod publiczke, epatować widzów, choć – z drugiej strony – nie chcielibyśmy być w żadnym przypadku posądzeni o elitaryzm. Fakty przeczą zresztą takim posądzeniom: miasto liczy ok. 80 tys. mieszkańców, spektakl „Opery za 3 grosze” graliśmy 42 razy. Frekwencja nie była stuprocentowa, ale blisko 80 proc. Mamy krąg stałych widzów, np. studentów słupskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, bilety są rozprowadzane w instytucjach i zakładach pracy – tak zresztą robi się wszędzie – ale jest też znaczne grono widzów spontanicznych, niekiedy nawet przypadkowych „debiutantów”, takich, na których w pewnym sensie najbardziej nam zależy.*

Teatr w Słupsku wystartował bez kompleksów prowincji, bez debiutanckiej tremy. Być może, o ich braku przesądził fakt, że ludzie go tworzący dobrze wiedzieli, czego chcą, dostrzegali szansę na realizację spektakli, o jakie trudno byłoby gdzie indziej. Perspektywę taką umacniała też zapewne istotna więź pokoleniowa i środowiskowa – wielu z nich pracowało wcześniej w teatrach studenckich, skąd nietrudno wynieść przekonanie o ziszczalności niemożliwego, znaczeniu uporu, umiejętności chwytania się każdej możliwości. Dla teatru „w powijkach” trudne o wiedzę bardziej ceną.

Teatr pracuje na dobrą sprawę pierwszy sezon. W tym czasie związał się z ciekawymi realizatorami młodego pokolenia: obok Macieja Prusa pracuje tu Janusz Nyczak i Ryszard Major, Jowita Piętkiewicz, kompozytor Jerzy Satanowski – w tym zestawieniu jest to niewątpliwie jedna z najlepszych grup w Polsce; współpracują wybitni scenografowie – Zofia Wierchowicz, Jan Banucha i Andrzej Sadowski, za dbano nawet o wysoki poziom plakatów, które projektują Franciszek Starowieyski i Waldemar Świeży. Zapewniono konsultacje wybitnych fachowców specjalistów: przygotowanie wokalne zespołu koryguje Romana Krebsówna, ruch sceniczny jest dziełem Leszka Czarnoty.

Czy nie za dużo w tym Słupsku ludzi z Warszawy, a w każdym razie spoza Słupska? – zapytać mogłby malkontent. Zarzut taki nie wydaje się wszakże na miejscu, gdyż trudno wartość teatru mierzyć kryteriami piłkarskiej ligowej drużyny. Słupski teatr stał się swego rodzaju ośrodkiem, ciekawym i wartościowym na tyle, aby sens we współpracy z nim widzieli uznani artyści. Podnosi to jego rangę, świadcząc dowodnie o kłęsce „mitu prowincjonalnego”.

